

Pięknie żyć...

Pani Irena Osadzińska (Caputa) urodzona w Olesku, w czasie wojny światowej została wywieziona do Kazachstanu, gdzie pracowała w sołchozie. Poprzez Ałma-Atę, Kaszkient i Pahlevi dotarła do Teheranu. Pracowała tam jako wojskowa sanitariuszka. Następnie przebywała w Palestynie i Egipcie. Drogą morską dostała się do Włoch i również jako sanitariuszka pomagała polskim rannym żołnierzom. Po zakończeniu wojny wzięła ślub w Noci, w Italii. W 1946 roku przybyła do Wielkiej Brytanii. Tam mieszka do dziś.

Przyszłam na świat w 1923 roku, w małym miasteczku Olesko, znanym z historii jako miejsce, w którym urodził się król Jan III Sobieski. Mój ojciec był w wojsku generała Hallera. Poznał mamę i w 1916 roku wzięli ślub. Mam nawet fotografię. Było nas czworo rodzeństwa, trzech braci i ja. Urodził się najstarszy brat Zbigniew, potem drugi - Mieczysław, następnie ja i trzeci, najmłodszy z nas - Kazimierz, od którego byłam starsza o 3 lata.

Proszę opowiedzieć o swoim domu.

Musieliśmy się, niestety, bardzo często przeprowadzać, bo ojciec wstąpił do policji. W tym okresie w Polsce miały miejsce duże rozruchy ukraińskie. Ukraińcy napadali na posterunki policji, okradali je z broni, zdarzyło się nawet, że tato raz był postrzelony. Od czasu do czasu musieli go przenosić, bo nie można było trzymać policji długo w jednym miejscu. W Polsce obowiązywało wtedy takie prawo, że jeśli miało się jakiegokolwiek powiązania z wioską czy danym miastem, nie można było w nim pracować w policji. Choć moja mama miała dom w Olesku, to tato nie mógł tam przez długi czas pracować, ale dlatego że postanowił przejść na emeryturę, pozwolono nam zamieszkać w naszym domu. Na dole domu był posterunek policji, z drugiej strony mieszkał adwokat, a my zajęliśmy całą „górkę”. Musieliśmy dużo odnawiać, było dużo pracy. W czerwcu 1939 roku przeprowadziliśmy się do Oleska i zadamowiliśmy się. Niestety wkrótce wybuchła wojna.



Rodzice Ireny: Anna i Rafał Caputa wśród wojskowych kolegów, 1916 r.

Jakie są Pani wspomnienia o mamie?

Mamusia była w szkole w Rosji, w Kijowie, uczyła się w seminarium nauczycielskim. Prawdopodobnie, przebywając na wakacjach u swoich rodziców, niedaleko Oleska, poznała ojca. Babcia była bardzo przeciwna ślubowi, uważała, że mama jako 17-letnia dziewczyna jest za młoda, by wychodzić za mąż. Ojciec, starszy od niej o 12 lat, w dalszym ciągu był w wojsku. Gdy dorastała moja mama, Polska nie istniała na mapie świata, dlatego mama uczyła się w Rosji. Kiedy byliśmy dziećmi, po rosyjsku śpiewała nam piosenki i mówiła wiersze. Ten język był piękny... Pamiętam, jak mamusia opowiadała, że Bolszewicy zniszczyli nie tylko kraj i ludzi, ale język też! Mama miała na imię Anna, tatuś zawsze mówił do niej: „Hanka”. Była bardzo pracowita, bardzo dobrze gotowała, szczególnie bigos i piekła pączki - to była jej specjalność! Kiedy urządzano jakieś zabawy, to zawsze mama piekła pączki. Była bardzo dobrą mamą i zawsze dbała o nas. Długo nie pracowała zawodowo, dopiero przed wojną podjęła pracę jako nauczycielka. Uczyła języków, przede wszystkim rosyjskiego i niemieckiego. Pamiętam, że tuż przed wybuchem II wojny światowej przyszło do mamy kilkoro ludzi z prośbą, by nauczyła ich języka rosyjskiego i rodzice rozmawiali o tym wydarzeniu. Znajomość języka rosyjskiego w późniejszym czasie bardzo nam się przydała. Mama nas trochę poduczyła i byliśmy niezli w rosyjskim, to nam naprawdę pomogło!

A ojciec?

Był surowy, ale nigdy nas nie uderzył. Najbardziej nie lubiliśmy, kiedy stawiał nas w szeregu i miał przemówienie. Mówiliśmy wtedy: „Lepiej, żeby dał klapsa”. Gdy powiedział, że zachowaliśmy się jak Bolszewicy, to nie było gorszego słowa... Czasem tak się zdarzało, że wracaliśmy za późno do domu. Pamiętam, że był 1939 rok, piękne lato było wtedy, tato powiedział: „Pozwolę wam zagrać w siatkówkę...” Mieliśmy wrócić na 22.00 do domu, spóźniliśmy się. Usłyszeliśmy od ojca, że tak być nie może i jako karę dał nam pracę w ogrodzie. Obowiązywało bardzo duże postuszeństwo, nie było dyskusji... Jeśli mama o coś poprosiła, to się szło i robiło, to była normalna rzecz!



Rafał Caputa, ojciec Ireny, wśród wojskowych kolegów (pierwszy od lewej strony w pierwszym rzędzie), 1916 r.

Co należało do obowiązków służącej, która była w Waszym domu?

Buty zawsze czyściliśmy sami, ojciec nigdy nie pozwolił, by robiła to służąca. Działał po wojskowemu, tyle lat był w wojsku, a potem w policji... Zabrudzone buty musieliśmy umyć, wysuszyć i wyczyścić, to oczywiste. Tato nauczył nas szanować ludzi. Służącą traktowaliśmy tak, jak kogoś z rodziny. Ona pomagała mamusi, przede wszystkim w gotowaniu, przygotowywała jarzyny, pomagała zrobić zakupy oraz pracować w ogródku. Kiedy mieszkaliśmy w Krasnym, mieliśmy duży dom i olbrzymi ogród, kury oraz konia, w ogrodzie było dużo pracy.

Jak długo służąca była z Wami?

Mieliśmy ich kilka, a kiedy wychodziły za mąż, następowała zmiana. Jedną z nich była daleka krewna, wyszła za mąż. Później my dorosiliśmy, ja dojeżdżałam do Złoczowa do gimnazjum, a bracia byli w bursie w Tarnopolu. Nie było wówczas potrzeby służącej. Wtedy mama sama dawała sobie radę. Gdy zamieszkaliśmy w naszym domu, w Olesku też już nie było służącej.

Czy pamięta Pani swoich dziadków?

Dziadek ze strony ojca zmarł i babcia wyszła za mąż po raz drugi. Nigdy się z nią nie spotkałam. Ojciec urodził się w Żywcu. Wiem, że niezbyt dobrze im się powodziło, gdyż mama często wysyłała tam paczki, zwłaszcza na święta.

Proszę opowiedzieć o życiu w Olesku...

Zamieszkaliśmy tam, ale nie długo cieszyliśmy się domem. 17 września 1939 wkroczyli Rosjanie. Ojciec jeszcze przed rozpoczęciem wojny musiał uciec z domu, szukali go Ukraińcy. Wiedzieliśmy, że kiedy znajdą go, to zastrzelą z powodu pracy w policji. Przed samą wojną, kazano ojcu aresztować kilku znanych Ukraińców, wywieziono ich do Beresteczka. Ukraińcy wymordowali dużą liczbę Polaków.

U nas był profesor Andruszewski, znany przeciwnik Ukraińców. Został w okrutny sposób zamordowany, jego ciało powieszono na boisku, gdzie graliśmy w siatkówkę i nie pozwolono zdjąć przez kilka dni. Ukraińcy zachowywali się strasznie w stosunku do nas, ale Polacy też nie byli im życzliwi, jednym słowem była nienawiść.

Uczęszczała Pani do szkoły w Olesku?

Tak, chodziłam do szkoły, która była zaraz za płotem. Proszę sobie wyobrazić, że po wielu, wielu latach, gdy byłam we Włoszech odwiedził mnie kierownik tej szkoły. Zaczęłam naukę, kiedy miałam sześć lat. W szkole były dzieci ukraińskie oraz dzieci nazywane przez nas: „Ruscy” - była to mieszanka Ukraińców z Rosjanami. Mówili językiem trochę z rosyjskiego, trochę z ukraińskiego i ten język nazywano „ruski”.

Czy ze względu na narodowość pomiędzy dziećmi też istniały antagonizmy?

Nie, nie pamiętam, żeby tak było! Bawiłam się z wszystkimi dziećmi i one przychodziły do naszego domu. Było dosyć dużo biednych dzieci. W Polsce była bieda. My mieliśmy służącą, która mieszkała z nami, ale nie dlatego, że nam się wybitnie powodziło, lecz dlatego, że dziewczyny chciały mieszkać z nami. Miały swój własny pokój i pomagały mamie. Mieliśmy kilka służących. Kiedy wychodziły za mąż, mamusia pomagała im urządzać wesele. Były to Polki z okolicznych miejscowości, wychodziły za mąż przeważnie w małych gospodarstwach z domem, ogrodem, gdzie często było też trochę pola.

Jak Pani pamięta dzień wybuchu wojny?

Pamiętam, że zbudziliśmy się rano i była piękna pogoda. Mieliśmy iść do jakiegoś miasteczka, a dwa dni wcześniej moi bracia wyjechali już do Tarnopola, do bursy, bo zaczęli naukę. Najmłodszy brat Kazimierz zaczynał pierwszy rok gimnazjum, a Mieczysław był już w trzeciej klasie gimnazjalnej. Pojechali i niestety 2 dni później musieli wrócić bo wybuchła wojna. 1 września 1939 roku radio podawało wiadomości o tym, że rozpoczęła się wojna. Przypuszczam, że ojciec już wiedział coś wcześniej, pożegnaliśmy się z nim, nie wiem dokąd pojechał, gdzie i jak? Wtedy widziałam go ostatni raz... Dzień lub dwa dni przed 1 września opuścił dom. Dorośli ludzie wiedzieli więcej niż my dzieci, przypuszczam, że nie chcieli nas straszyć, nie mówili nam o wszystkim. Mama powiedziała mi: „Niestety, ale zaczęła się wojna, dziś rano Niemcy napadli na Polskę, jest tragedia!”

Czy 17 września 1939 roku również utkwił Pani w pamięci?

Tak! 17 września przyszli do nas Rosjanie. Weszli do domu na „górze”. Mieliśmy olbrzymi pokój, który był przedzielony na dwie części. W jednej części mieszkałam ja, a w drugiej mój najmłodszy brat. Kiedy on wyjechał do szkoły w Tarnopolu, mama przeznaczyła część zamieszkiwaną wcześniej przez Kazika na jadalnię. Rosjanie obejrzel nasze mieszkanie i powiedzieli, że muszą je zająć. Zdecydowali, że zajmą przedzieloną część pokoju. Poprzez werandę nanieśli bardzo dużo słomy do domu. Spali na słomie, nie wiem ilu ich było, ale był bardzo wielki smród po nich! Używali czegoś w rodzaju smaru do butów, który okropnie śmierdział, ja do dziś to pamiętam!

A Wy nadal mieszkaliście w tym samym domu?

Tak, musieliśmy zmieścić się w pozostałej części domu. Kiedy Rosjanie opuścili nasze mieszkanie, zostawili całą słomę... Po ich odejściu wieczorem, ktoś zapukał do drzwi. Mama powiedziała do mojego starszego brata: „Zejdź na dół i zobacz kto tam jest!” - okazało się, że przyszedł oficer rosyjski. Nie wiem, kto go poinformował, że mama mówi po rosyjsku, nie znam treści jego rozmowy z mamą, wiem jedynie, że długo rozmawiali na korytarzu. Potem mamusia gdzieś wyszła i dość długo jej nie było, ale już nie mieszkali z nami żołnierze, więc nie martwiliśmy się aż tak bardzo. Po jakimś czasie, dopiero kiedy byliśmy w Rosji, mama powiedziała, że ktoś przekazał, że ona dobrze mówi po rosyjsku. Oficer przyszedł poprosić, aby poszła do księdza i po rosyjsku poprosiła o ochrzcenie jego dziecka. Żołnierze wojsk rosyjskich jechali do Finlandii z rodzinami. Ksiądz ochrzcił dziecko. Mama wróciła do domu i na tym się skończyło. Przestali też przychodzić do nas Ukraińcy, wcześniej robili to codziennie, przychodzili i pytali, gdzie jest ojciec. Mówiliśmy, że nie wiemy, że widocznie zabrano go do wojska.

Czy Rosjanie powrócili jeszcze do Was?

Rosjanie pojechali, ale trochę żołnierzy zostawili. Nadszedł grudzień i dzień świętego Mikołaja. Byliśmy już duży, ale najmłodszy brat miał 12 lat i mama chciała przygotować prezent dla niego i dla nas również. Rano przed 9.00 przyszli Rosjanie i powiedzieli, żeby się zbierać. Była to dla nas „niespodzianka”. Mama wzięła kołdrę, pierzynę i inne rzeczy, żołnierze związali to w prześcieradło, znieśli na dół i zostawili na dworze rzeczy i nas, a mieszkanie zajęli. Na szczęście nie wiedzieli, że babcia mieszka niedaleko. Brat Mietek, pobiegł do niej, nie wiem jak się dostał, nie pamiętam tego. Babcia przyjechała z drabiniastym wozem i zabrała nas wszystkich do siebie. Miała dość duże gospodarstwo, stodoły, kury... Mieszkała w wiosce Czechy, była to długa, ciągnąca się wzdłuż drogi miejscowość w odległości 14 kilometrów od Oleska. Zamieszkaliśmy na wsi, dziadek wtedy już nie żył.

Jak pamięta Pani święta Bożego Narodzenia w domu babci?

Boże Narodzenie 1939 roku było bardzo smutne. Nie było wśród nas ani ojca, ani najstarszego brata, który przebywał w szkole lotniczej w Bydgoszczy. Prawdopodobnie został zaangażowany do działań wojennych, miał wtedy 19 lat. U babci mieliśmy choinkę i kolację. Martwiliśmy się, że wyrzucono nas z domu. Tyle lat nie mieszkaliśmy w naszym własnym domu i po 6 miesiącach od zamieszkania wyrzucono nas! Rodzice zainwestowali bardzo dużo na odnowienie mieszkania, na zakup mebli. Mama jako gospodyni bardzo rozpacziała z tego powodu. My jako dzieci nie rozumieliśmy sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

Długo zostaliście u babci?

Mieszkaliśmy u niej kilka miesięcy, do wiosny. Pamiętam, że już był kwiecień 1940 roku, jeszcze trochę zimno. Przynieśliśmy drewna, rozpaliliśmy i ogrzewaliśmy się. Nadszedł 13 kwietnia 1940 roku. Zabrali nas w nocy, przyjechali do domu babci o 2.30 wozami. Razem z Rosjanami był również policjant z miejscowości, w której mieszkaliśmy, z Czech. Moja mama „straciła głowę”. Babcia uderzyła ją w twarz i powiedziała: „Ty musisz pomóc dzieciom, pomyśl!” Mama bardzo przeżyła wywózkę, chodziła z pudełkiem do golenia należącym do ojca. Babcia mówi: „Po co ci to, musisz pomyśleć o dzieciach, coś zabrać..!” Nigdy nie zapomnę, że wraz z innymi rzeczami mama zabrała też frak należący do ojca. Po co? Nie wiem... Pamiętam, że dowieźli nas na stację kolejową w naszej wiosce, w Czechach, wsadzili do wagonu bydłowego, do którego z jednej i drugiej strony włożono 3 zrobione jakby ławki z desek, mające służyć do spania. W środku wagonu zrobiony był otwór, pełniący rolę ubikacji. Mój starszy brat, który wówczas miał 17 lat, nie był obecny w domu, gdy po nas przyjechali. Wyjechał gdzieś z kolegą. Zmartwiliśmy się, szczególnie mama, która powiedziała, że on się uratuje i że babcia się nim zaopiekuje. Babcię zostawili. Po naszym wyjeździe zajęto jej dom. Był on duży, miał jakby dwa mieszkania, a w środku mieściła się letnia kuchnia, korytarz i spiżarnia. Zostawiono niewielką część do mieszkania: tylko letnią kuchnię, korytarz i małe pokoiki. Babcia powiedziała, że nie opuści tego miejsca i zostanie aż do śmierci, żyła długo.

Jak wyglądało Wasze „zakwaterowanie się” w pociągu?

Jako że do wagonu dostaliśmy się pierwsi, mogliśmy wybrać miejsce. Ja usiadłam na samej górze, obok okienka. Okienko było zakratowane, ale można je było otworzyć. Wagon prawie się wypełnił. W międzyczasie nadeszła babcia (widocznie przekupiła żołnierza) i pozwolono jej przynieść nam jeszcze jedną dużą pierzynę, której nie pozwolono zabrać, kiedy się pakowaliśmy. Dostaliśmy ją późno w nocy, otworzono drzwi naszego wagonu i brat Mietek, którego nie było w domu, gdy nas zabierali, został wepchnięty do środka.

Wiedzieliście gdzie jedziecie?

Wiedzieliśmy, że jedziemy do Rosji, ale nie wiadomo było gdzie. Jechaliśmy przez 4 dni przez Polskę i dlatego nie otwierano wagonów. Dopiero kiedy wjechaliśmy do Rosji, to otworzono drzwi, przyniesiono 2 wiadra z zapą i zawołano nas na jedzenie. Przez wcześniejsze dni jedliśmy tylko to, co mieliśmy z domu. Większość kobiet w wagonie płakała. Pamiętam, moja mama zaczęła strasznie płakać, byliśmy zdziwieni, bo ona zawsze była mocna. Powiedziała do mnie: „Pamiętaj, że kiedyś wrócimy i wyjdiesz za mąż, będziesz miała dom i rodzinę przez 25 lat i w przeciągu paru minut stracisz wszystko, to pomyśl wtedy o mnie, dlaczego ja płaczę. Akurat jestem 25 lat po ślubie...” Mama miała dom, 20 hektarów lasu i trochę ziemi rolnej, którą trzech gospodarzy wynajmowało od niej. Trzeba przyznać, że ci ludzie starali się i wysyłali nam paczki do Rosji, ale dostawaliśmy tylko kaszę gryczaną, wszystko inne było okradane. Paczki były zawsze napelniane czymś w rodzaju piasku. Ludzie w Rosji kradli, bo byli tak samo głodni jak my. Nie dziwiłem im się! Najbardziej brakowało mydła.

Jechaliśmy 3 tygodnie. Dojechaliśmy do Pawłodaru i podjechały ciężarówki, następnie przemieszczaliśmy się nimi i po drodze wysadzano po dwie, trzy rodziny. Dotarliśmy do sołchozu, w odległości 100 km od Pawłodaru. Wysadzili mnie z mamą i braćmi oraz pewną kobietę - matkę z dwiema córkami, z których jedna, starsza miała synka. Najwyraźniej były to Ukrainki i podobno mąż jednej z nich był polskim oficerem. Matka nie odzywała się w ogóle, myśleliśmy początkowo, że jest głuchoniema, z dziećmi też nie rozmawiała, a córki pomiędzy sobą mówiły po rusku. Rozumiałam je ja i mama też. Starsza z córek bardzo szybko „podchwyciła” w Rosji zootechnika.

Gdzie Was ulokowano?

Pierwsze dwie noce nocowaliśmy na słomie pod dachem, w stajni, gdzie mieszkały owce. Potem dano nam lepiankę, to była dosłownie wykopana dziura w ziemi, tylko okienka i dach był ponad ziemią. Mieszkania takie były dość popularne w Rosji, mokre niestety. Co prawda był już maj, ale nie było bardzo ciepło... W domu mieszkaliśmy my oraz matka z córkami i wnuczkiem. Jedna z córek zabrała dziecko ze sobą i jak wspomniałam, znalazła kogoś, z kim zamieszkała. Co jakiś czas przynosiła jedzenie dla swoich najbliższych.

A Wy jak sobie radziliście?

Kołdra ratowała nam życie, niestety zimą jednej nocy przymarzła do ściany. Mój Boże, baliśmy się odciągać ją od ściany, żeby nie podrzeć, ale jakoś odtajęła. Najgorszy był głód i zimno. Jedliśmy chleb, który był głównym pożywieniem, dostawaliśmy go 300 gramów, był ciężki w konsystencji. Mój średni brat Mieczysław, niestety, bardzo się rozchorował. Zaczęły mu się ruszać wszystkie zęby. Nie wiedzieliśmy co robić, nie było lekarza w okolicach, najbliższy w Pawłodarze, w odległości 100 kilometrów. To kawał drogi. Pamiętam, mama wzięła moje szkolne pantofle, takie z kokardkami, gdzie poszła i wymieniła je na pół worka cebuli i czosnku. Zapach tego czosnku był okropny, mama smarowała nim bratu dziąsła i to zaczęło pomagać. Mietkowi trudno było jeść chleb, ze względu na chorobę dziąseł. Ja otrzymałam pracę na roli, zapytano mnie czy umiem jeździć traktorem. Odpowiedziałam, że nigdy nie jeździłam, ale nauczono mnie. Zaczęłam jeździć i ciągnęłam za sobą grabie, były potężne, miały duże szpikulce, trzeba było je czyścić... Kiedy przychodziłam do domu miałam ręce pokrwawione. Najgorsze było to, że gdy zaczęły się prace na roli, musiałam wstawać bardzo wcześnie rano, kiedy jeszcze było ciemno i gdy szłam spać, już też było ciemno. Od rana do nocy pracowałam, ale zawsze można było ukraść trochę pszenicy i w kieszeniach przynieść do domu. Mama tę pszenicę wkładała pomiędzy dwie cegły i rozcierała, mieliśmy dość dużo soli, gdyż w pobliżu były jeziora solne. Mama zrobiła piecyk, ułożyła dwie cegły po bokach i kolejną na górze, paliło się, a cegły się rozgrzewały. Latem rozgrzewaliśmy je na słońcu i na tym mama piekła solone paluszki. Od czasu do czasu dawano nam talon na zupe, ponieważ pracowałam na roli, mogłam go otrzymać.

Czy za pracę dostawała Pani jakieś pieniądze?

(Śmiech...) Kiedy wyjeżdżaliśmy z Rosji, to jeszcze byłam im winna! Nie wiem, jak to się stało, ale nam nigdy nie płacili. Za pracę dostawaliśmy chleb. W Rosji były kołchozy albo sołchozy. Praca w kołchozie była tak zorganizowana, że ludzie pracowali dla siebie w jednym dużym gospodarstwie i część dochodów oddawali państwu. W sołchozie my pracowaliśmy dla państwa, a państwo powinno nam płacić... Ja byłam w sołchozie i nigdy nie dostawałam pieniędzy! Całe życie człowiek tam tylko się bał. Mojego męża mama miała 51 lat, gdy została zamordowana w więzieniu. On był w Pałatyńsku, nie znaliśmy się wtedy. Czasem otrzymywałam talon na zupe, mogłam go oddać bratu, który ze względu na chorobę dziąseł nie mógł gryźć chleba. Mama chodziła do jadłodajni, prowadzonej przez Rosjan. Wyrzucali obierki z kartofli, a ona zbierała je i gotowała w domu. Oprócz kawonów (arbuzów), które mogliśmy skraść na polu, mieliśmy sklepik objazdowy. Przyjeżdżał dosłownie raz na 6 miesięcy i przywoził dużo cykorii, kobiety kupowały olbrzymie ich ilości. Pytałam: „dlaczego”? Jedna z Rosjanek

odpowiedziała mi, że napar z cykorii jest czerwony i używają go jako kredkę do ust. Przywożono też dwa zwoje materiału, a za kilka dni na polu widać było tylko takie same, uszyte z niego sukienki, nie było wyboru.

Jakie były warunki sanitarne?

Mieliśmy studnię i wyciągaliśmy wodę z niej wodę. W zimie było tragicznie, żeby się umyć... Było tak zimno, że mycie było niemożliwe, ale po pierwszej zimie, która była bardzo ostra powiedziano nam, że kiedy jest powyżej -35 stopni można zostać w domu, ale kiedy temperatura była mniejsza niż -35, trzeba było chodzić do pracy.

Na czym polegała Pani praca w okresie zimy?

Pracowałam w garażu. Był olbrzymi, tak jak sięgał wzrok. Od czasów I wojny światowej w tym garażu pracowali Niemcy. Byli to technicy, mieli własną wioskę, Rosjanie potrzebowali ich do maszyn. Pozwalali im mieć własne bydło. Ci Niemcy byli dla nas wyjątkowo dobrzy. Proszę sobie wyobrazić, że co godzinę przygotowywali nam „czajok”, była to wrząca woda. Czasem dzielili się z nami jedzeniem. Wiedzieli, jak my jesteśmy bardzo głodni. Byłam tym zaskoczona, taka ironia losu... Mam wrażenie, że oni bardzo przeżywali naszą sytuację i może dlatego pomagali, sami mieli przecież rodziny i dzieci.

Czym się dzielili?

Raz dostałam nawet kielbasę, ale przynosili przede wszystkim chleb z domowego wypieku i jak wspominałam, bardzo często grzali nam wodę. Kiedy w rękę trzymało się naczynie z ciepłą wodą, robiło się bardzo przyjemnie i po jej wypiciu było ciepło w ciele od środka. Naprawdę Niemcy, o których wspominałam, byli dla nas bardzo wyrozumiali. Jeden z moich znajomych pracował u nich w biurze. Oni zimą rozbierali wszystkie duże kombajny na części. Natomiast my, a pracowało nas kilka dziewczyn, myłyśmy te części w nafcie. Dlatego dziś mam tak pokręcone palce, nafta była bardzo zimna. Myłyśmy, a niemieccy pracownicy składali i przygotowywali maszyny do pracy na wiosnę. Pracowaliśmy całą zimę. Zdarzył się bardzo przykry wypadek.

Co się stało?

Mój znajomy, Tadeusz Marszał, pracownik biura, o którym wspominałam, mieszkał w wiosce, gdzie były krowy. Jego siostra i jeszcze jedna rodzina pracowały przy krowach, zawsze mogły przemycić trochę mleka. Mama obiecała mu, że zrobi pierogi. Zaczął padać śnieg. Mówiliśmy do niego: „Tadzik, będzie buran, zgubisz się” - bo jak jest buran, to śnieg jest tak gęsty, że kiedy wyciągnie się rękę przed siebie nie widać jej. Była sobota, Tadzik poszedł do domu. W poniedziałek rano przybiegła jego siostra i powiedziała, że brat do domu nie dotarł, myślała, że nocował u nas. Powiedziałam jej, że nie, nie nocował, poszedł do domu, bo mama obiecała mu, pierogi. Niestety, jak się okazało, w drodze stracił orientację, zakopał się w śniegu, był tam całą sobotę, niedzielę oraz noc z niedzieli na poniedziałek.

W poniedziałek z rana Kazach wiózł na sankach dzieci do szkoły i zauważył, że coś rusza się w śniegu. W pierwszej chwili myślał, że to niedźwiedź. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył leżącego w śniegu człowieka. Tadeusz nie mógł już chodzić i ręce miał odmrożone aż do łokci, amputowano je. Najpierw ucięto mu trochę, później jeszcze więcej a ostatecznie amputowano mu obie ręce aż do łokci, oraz kawałek stopy. To było dla nas wszystkich straszne przeżycie. Pochodziliśmy z tego samego miasteczka. Był młody, akurat dostał się na uniwersytet... W 1946 roku wrócił do Polski wraz z moją mamą i całym transportem cywilów. Zrobiono mu sztuczne ręce. Na szczęście miał matkę i osoby, które mu pomagały. Skończył prawo, był bardzo znanym adwokatem w Warszawie. Kiedy mój brat wrócił z wojska do Polski, chciał koniecznie zobaczyć się z nimi, bo od 1941 roku się nie widzieli.

Wróćmy jeszcze na Kazachstan ...

Po pierwszej trudnej zimie dostaliśmy inne mieszkanie. W międzyczasie zmarła Ukrainka, mieszkająca z nami, która nigdy z nikim nie rozmawiała. Pamiętam, że do lepianki przyszło dwóch mężczyzn, żeby ją zabrać, było to dla nas silnym i przykrym przeżyciem, jak ciągnęli ją po schodach. Trudno było też wykopać grób. W 1941 roku pracowaliśmy znów bardzo ciężko na roli. Moją mamę przydzielono do rozbiórki komina. Wieczorem, kiedy wróciła z pracy, zauważyłam, że mama siedzi cała czarna, widać jej tylko oczy i usta. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że sadza jest tak tłusta. Niedziele zawsze mieliśmy wolne. Zabraliśmy mamę do pobliskiej rzeki Irtysz. Chcieliśmy ją koniecznie umyć, nie mieliśmy mydła. Znalazłam płaski kamień i nim tarliśmy mamę, ale nie można było jej umyć. Kilka tygodni chodziła ubrudzona. Na słońcu grzaliśmy wodę, nie mieliśmy mydła, to było najgorsze, brak mydła. Latem co niedzielę chodziliśmy wspólnie nad Irtysz kąpać się i przy okazji robić pranie.

Mówiła Pani, że Niemcy w Kazachstanie traktowali Was dobrze, a jacy byli dla Was Rosjanie?

Jako naród to bardzo dobrzy ludzie, mieli dobre serca, dzielili się z nami. Mama rozmawiała z nimi po rosyjsku. Zootechnik, który rozdzielał prace, zawsze oszczędzał moją mamusię, nie wyznaczał jej ciężkich zajęć.

Czym zajmowali się bracia?

Mieczysław pracował na roli, a młodszego brata mama oddała do sierocińca dlatego, że tam go karmiono. Miał wprawdzie 12 lat, ale opiekunowie ośrodka dla dzieci wiedzieli, że nie ma ojca i uważali, że Kazik powinien zostać w sierocińcu. Od czasu do czasu przychodził do nas, uczył się też do szkoły. To bardzo pomogło mamie, nie musiała się troszczyć o jedzenie dla niego.

Jak potoczyły się Wasze losy po podpisaniu amnestii?

Kiedy już byliśmy wolni w 1941 roku, po zawarciu układu Sikorski–Majski, Rosjanie nie byli przygotowani na wojnę, podpisali przecież akt o nieagresji. Gdy zaczęli „tracić na wojnie”, zwrócili się do Anglii o pomoc. Nasi generałowie, zwłaszcza Sikorski i Anders, powiedzieli, że przecież tysiące Polaków „gniją” w łagrach i na robotach, żeby ich wypuścić, a oni zabiorą ich do neutralnego kraju i przygotują do walki. Rosjanie zgodzili się na pewną ilość ludzi, a potem powiedzieli generałom, że mogą zabrać nie 7 tysięcy, a 35 tysięcy ludzi, i że wszyscy muszą być w wieku poborowym. Skończyło się na tym, że przyjechał do nas oficer polski i zaczął werbować do wojska. Na szczęście do tego wojska, które miało wyjechać z Rosji, wojsko polskie im. Kościuszki przeznaczone zostało na towarzyszenie Rosjanom w walce z Niemcami. Generał Anders przemycił dużo więcej niż 35 tysięcy ludzi i przy okazji zabrał również ludność cywilną. Niestety, nie pozwolono mu zabrać wszystkich. Dlatego też część ludzi, a wśród nich moja mama, choć przyrzekła, że za mną pojedzie, musiała zostać w ZSSR, w Kazachstanie aż do 1946 roku.

A Pani zgłosiła się do wojska wraz z bratem ?

Tak. Wyjechaliśmy dość dużą grupą w listopadzie 1941 roku. Z innych okolicznych miejscowości też zgłosiło się wiele osób. Powiedziano nam, że jesteśmy wolni. Pożegnaliśmy się z mamusią i byliśmy przekonani, że za niedługo ona za nami pojedzie. Jechaliśmy w „podróż bez biletu” – dlatego, że pozwolono nam jechać pociągami bez biletu. Byliśmy zwolnieni z opłaty. Jechaliśmy w stronę Ałma-Aty, Kaszkientu i w kierunku Teheranu. Miałam wtedy 16 lat. Dowiedzieliśmy się, że zmieniamy miejsce pobytu, żeby przede wszystkim uniknąć śniegu i ostrej zimy. Mieliśmy kufajki i walonki, czyli wysokie buty, zrobione ze sztywnego koca, bardzo ciepłe, miały jedynie tę wadę, że podeszwy były za cienkie i wycierały się dosyć szybko. Sznurowało się je kawałkiem drutu, jeśli się go znalazło i wykladało się w środku sianem albo słomą. Było dosyć zimno, podróżowaliśmy w zależności od

pociągów, które dość często były przepełnione. Na stacji sprzedawano lody, mrożone z dodatkiem sacharyny, pamiętam, że lizaliśmy je, bo byliśmy bardzo głodni. W końcu wysadzono nas na jednej ze stacji, byliśmy już dość blisko Ałma-Aty i robiło się ciepło. Powiedziano nam: „Musicie zbierać bawełnę”. Zostaliśmy zabrani na pola, gdzie rosły krzaki bawełny, wyglądem podobne do waty, zbieraliśmy ją. Tam zachorowałam na tyfus.

To niebezpieczna choroba... Jaką otrzymała Pani pomoc?

Bracia Mietek i Kazik zabrali mnie do szpitala. Niestety, nie było wolnych łóżek. Na jednym łóżku leżały dwie pacjentki. Miałam bardzo wysoką temperaturę, straciłam przytomność, ogolono mi włosy. Nie pamiętam wiele, wiem tylko, że raz dostałam szklankę mleka, żeby się napić. Ile tygodni leżałam, dokładnie nie pamiętam, ale bardzo długo. Kiedy wróciłam do sił, najpierw z trudem się poruszałam. Zaczęto mi dawać jedzenie, pamiętam, że był to posiłek z mlekiem i spożywałam go zachłannie, bo bardzo długo nie miałam okazji, żeby napić się mleka. Wyszłam ze szpitala, ogolona, miałam czarną chusteczkę, zawiązałam ją na głowie. Byłam słaba i było mi bardzo trudno. Nie miałam braci, nie miałam nikogo z rodziny, ale udało mi się znaleźć grupę Polaków, którzy jechali, aby dołączyć do wojska. Przyłączyłam się do nich, wsiedliśmy do wagonu. Przez pociąg przechodziła kobieta, która na ramionach miała czerwony krzyż. W rękę niosła puszkę, skondensowanego mleka i po jednej łyżce tego pokarmu dawała każdemu do ust. Jedzenie pochodziło z organizacji „Czerwony krzyż”. Jechaliśmy przez różne stacje, aż dotarliśmy do jednej, na której powiedziano nam, że w pobliżu jest polskie wojsko. Porozmawialiśmy z oficerem, a on poinformował nas, że to jest przede wszystkim oddział wojskowy dla kobiet. Odpowiedziałam: „Ja jestem kobietą!”

Wysłano nas pod prysznic i zmieniliśmy odzież. Dostałam spódniczkę, płaszcz, sweter i buty. Nie udało się znaleźć małych, damskich rozmiarów butów, dlatego musiałam nosić 3 pary skarpet, lecz w dalszym ciągu buty były za duże. Zapytano mnie, do jakiego oddziału chcę należeć: do sanitarnego, do oddziału komunikacji czy do transportu. Odpowiedziałam, że do sanitarnego. Pamiętam, jak w nocy stałam z karabinem na straży, który przypuszczalnie nie był nawet naładowany, ale byłam na służbie. W lutym chodziliśmy w płaszczach wojskowych, było jeszcze dość chłodno. Wtedy zawołano mnie i jeszcze jedną tak samo młodą jak ja dziewczynę. Powiedziano nam, że w marcu będzie pierwszy transport do Teheranu, ale musimy zabrać ze sobą 40 dzieci sierot.

Proszę opowiedzieć, jak przyjęła Pani tę propozycję?

Powiedziałam: „Nigdy nie opiekowałam się sierotami”. W odpowiedzi usłyszałam: „Masz przecież rodzinę, to wiesz, co dzieci lubią robić!” Podjęłam się zaproponowanego zadania. Okazało się, że dzieci było mniej niż 40. Wsadzono nas do autobusu, to był marzec. Wszystkie dzieci miały czarne chusty robione z włóczki, otrzymały je w sierocińcu. Jechaliśmy dość daleko, przyjechaliśmy do Krasnowodzka. Weszliśmy do dużej hali i oczekiwaliśmy na dalszą podróż. Trzeba było przedostać się przez Morze Kaspijskie aż do Pahlevi. Podróż morską trwała 3 dni.

Dzieci dobrze znosiły rejs?

Statek to była zmora, dzieci potrzebowały co chwilę dostać się do toalety, stały w kolejce. Dziecko nie zawsze da radę poczekać... Dano nam do jedzenia ryby. Szczęśliwie dotarliśmy do Pahlevi.

I co dalej?

Zabrano z pokładu dzieci i nas też. Następnie zabrano nasze ubrania i umyliśmy się w specjalnych detergentach. W Pahlevi, przeszliśmy solidną dezynfekcję. Najpierw zostaliśmy obsypani białym proszkiem, a potem spłukiwano nas wężem, takim jak do podlewania ogrodu. Potem jeszcze zostaliśmy spryskani płynami, a na zakończenie dezynfekcji, otrzymaliśmy mydło i umyliśmy się w ciepłej wodzie. Otrzymaliśmy wszystko, co było potrzebne. Ja dostałam battle dress (mundur polowy), zauważyłam, że ma on białe plamy. Okazało się, że to sól morską. Statek, którym transportowano odzież, został wysadzony na morzu, rzeczy prawdopodobnie wyłowione, ocalone i wysuszone, były nowe, nigdy wcześniej nie noszone. Dostałam trochę mniejsze buty, z czego byłam bardzo zadowolona.

A po dezynfekcji?

Zabrano nas do Teheranu i zostaliśmy poinformowani: „Będziecie teraz pracować w szpitalu”. W pobliżu Teheranu rozbito namioty dla nas. Ziemia była piaszczysta, położono maty kokosowe i zaczęto przywozić ludzi. Nie mieliśmy żadnych materaców, tylko te kokosowe maty. Chorych kładziono na nich, a my klęcząc obsługiwałyśmy ich. Nie było basenów, tylko duże puszkę po jedzeniu. Musiałyśmy we dwie pomagać każdemu choremu, by mógł skorzystać ze szpitalnej „toalety”. Było to bardzo trudne. Niektóre moje koleżanki wybrały co innego, pojechały do szkoły zrobić maturę, a ja niestety bez matury muszę umrzeć (śmiech...)! Moja siostra szpitalna któregoś razu powiedziała mi: „Irka, po cholere ci matura! Tutaj ręk potrzebna do pracy, widzę, że Ty z ludźmi umiesz się obchodzić, musisz zostać, przynajmniej zrobisz coś pożytecznego!” Pomyślałam, może rzeczywiście, ma rację... Jak mogę coś dobrego dla ludzi zrobić to zostanę..., ale praca była ciężka.



Irena Caputa (druga z prawej strony) w szpitalu w Teheranie, 1943 r.

Co jeszcze pamięta Pani z pobytu w Teheranie?

Pamiętam rosyjskiego batiuszkę, a jednocześnie lekarza, który dowiedział się o naszym przyjeździe. On uciekł przez rewolucję październikową do Teheranu. Pracował jako lekarz, równocześnie był księdzem prawosławnym, bardzo miły człowiek, do dziś mam jego fotografię. Wspomniany ksiądz – lekarz, mieszkał już dość długo w Teheranie. Szach miał do niego duże zaufanie. Odnoszę wrażenie, że to właśnie dzięki niemu okazano nam wielką pomoc. W trosce o nas został oddany do dyspozycji szpital. Budynek szpitalny miał kształt litery L. Były w nim duże sutereny, gdzie mieściły się apteka oraz laboratorium. Niestety, nie mieliśmy sali chirurgicznej. Lekarzami byli Polacy, przeważnie Żydzi, którzy nie uciekli do Palestyny, ale z nami przyjechali do Teheranu. Należeli do wojska, dlatego przysłano ich do wojennego szpitala tak jak mnie i inne dziewczęta. W Teheranie mieszkaliśmy 18 miesięcy, aż do listopada 1943 roku.



Irena Caputa w pracy z chorymi, Teheran 1943 r.

Czy otrzymała Pani przygotowanie do pracy z chorymi w szpitalu?

Tak, wieczorami chodziłyśmy na dwie lub trzy godziny do szkoły, więc zawsze byłyśmy zmęczone. W zakresie przygotowania pielęgniarskiego, uczono nas robić zastrzyki i pobierać krew, gdyż nie było komu tego robić, a ludzi trzeba było ratować. Zdecydowano, że będę siostrą salową, miałam sanitariuszki, które współpracowały ze mną. Poprzez praktykę, po kilku miesiącach nabrałam bardzo dużo wprawy. W międzyczasie przysłano z Londynu wykwalifikowaną w Warszawie pielęgniarkę, nazywała się Wyderko. Miała pełną pielęgniarską kwalifikację, była „ostra”, ale bardzo sprawiedliwa! Pracowała jako oddziałowa, pamiętam, że kiedyś przyszła do mnie i powiedziała: „Irka, ty już 14 godzin pracujesz, idź do domu, bo zemdlejesz!” Chciałabym jeszcze opowiedzieć o mojej „wojennej mamie”.



W wojskowym mundurze...

Bardzo proszę...

Poznałam bardzo miłą panią, która szukała swojej córki, będącej w łagrach, podczas kiedy ona przebywała w więzieniu pod zmienionym nazwiskiem. Powodem zaistniałej sytuacji jej uwięzienia były najprawdopodobniej względy dyplomatyczne. Będąc w Rosji, jedna z nich nie знаła miejsca, w którym przebywa druga i na odwrót. Kiedy zwolniono matkę z więzienia, ktoś poinformował ją, że w Teheranie przebywa Irena, blondynka o niebieskich oczach. Moje imię oraz rysopis zgadzały się z rysopisem jej córki. Kobieta przyjechała do Teheranu. Odnalazła mnie i choć nie byłam osobą, którą spodziewała się zobaczyć, od razu się mną zaopiekowała, to moja „wojenna mama”. Na szczęście ostatnim transportem w czerwcu 1943 roku przyjechała do Teheranu jej córka. Zamieszkałyśmy razem, wynajęłyśmy sobie pokój we trzy. Za pracę dostawałyśmy wynagrodzenie. Kiedy zostałam salową, otrzymywałam pensję podporucznika w tumanach (irańska waluta). Dostawałyśmy też wyżywienie.



Irena Caputa w Teheranie (druga z prawej strony), 1943 r.

Wysyłała Pani pomoc finansową lub paczki do mamy do Rosji ?

Tak, ale firma przesyłkowa narobiła nam bardzo dużo kłopotu, bo nie wysyłała pieniędzy, tylko zabierała je dla siebie. Ja nie mogłam się skomunikować z mamą, ani ona ze mną. Z powodu kradzieży była wielka afera w Palestynie, gdyż przez spółkę z tego właśnie kraju, ja i inne osoby wysyłali pomoc do bliskich w Rosji.

Mieliśmy dwóch lekarzy Persów, jedna z moich znajomych wyszła za męża za doktora Bazargana z Persji. Kiedy my wyjechaliśmy z tego kraju, ona została, urodziła syna, ale później jak w Teheranie miała być rewolucja, przyjechała do Londynu i po jakimś czasie zorganizowała tam zjazd „siostr z Teheranu”. Wraz z mężem akurat wtedy jechaliśmy do Ameryki. Zaplanowaliśmy podróż już wcześniej, chcieliśmy odwiedzić syna. Było mi przykro, że nie mogłam uczestniczyć w spotkaniu z koleżankami z czasów wojny.

Spotkała Pani w Teheranie swoich braci?

Dlatego że w Rosji chorowałam na tyfus, nabyłam odporności, to ja i 6 innych osób pracowałyśmy z pacjentami chorymi na tyfus i byłyśmy odizolowane. Pracowałyśmy w części budynków, gdzie był dość wysoki mur. Pamiętam, że któregoś wieczoru ktoś mnie zawołał: „Irka, Irka, ktoś przyszedł do ciebie i chce cię zobaczyć”. Po głosie rozpoznałam, że to mój najmłodszy brat Kaziu. Zaczęliśmy skakać, bo mur był wysoki... Później jeszcze raz czy dwa razy spotkaliśmy się, ale nie zawsze mogliśmy. Brat podzielił się ze mną wiadomością, że leci do Szkocji i wstępuje do Brygady Spadochroniarzy. Zapewnił, że jak tylko będzie mógł, to do mnie napisze. Podałam mu adres. Niestety, nie mieliśmy żadnych wiadomości o moim drugim bracie. W Teheranie zaczęto odwiedzać swoich znajomych w szpitalach, tych którzy przyjechali z Rosji. Jedna pani powiedziała mi: „Mój syn jest z pani bratem w wojsku”. Zawiadomiono Mietka i przyjechał do mnie w odwiedziny, był już w stopniu porucznika w Artylerii.

A co ze Zbigniewem - najstarszym bratem?

Najstarszy brat zginął w Polsce, prawdopodobnie podczas lotów, wtedy już był pilotem. Nie wiemy o nim nic, po rozpoczęciu wojny już nie mieliśmy z nim kontaktu. Mój średni brat Mieczysław walczył później pod Monte Cassino, a Kazimierz jako spadochroniarz uczestniczył w bitwie o Arnhem w Holandii, następnie przebywał na okupacji w Niemczech. Po zakończeniu wojny odwiedził mnie w Anglii. Postanowił, że pojedzie do Polski, do mamy, która z Rosji wróciła w 1946 roku. Znaleźliśmy się z nią przez organizację „Czerwony Krzyż”. Nie mogła wrócić do domu, bo dom był już na Ukrainie. Ja w 1946 roku w lipcu przyjechałam do Anglii.

Kiedy i dokąd wyjechała Pani z Teheranu?

W listopadzie 1943 roku odwołano wszystkie wojskowe siostry z Teheranu. Z cywilnego szpitala zabrano nas do wojska. Podróżowałyśmy pociągiem do Bagdadu. W Bagdadzie przesadzono nas do samochodów, podobnych do ciężarówek. Naszymi kierowcami byli mężczyźni z Bagdadu, w turbanach, bardzo mili ludzie. Podróżowaliśmy z Bagdadu do Palestyny. Przyjechaliśmy do Nuseiratu, gdzie była piękna plaża i piękne morze, można było się wykąpać. W Nuseiracie stacjonowało wojsko polskie i tam spotkałam mojego przyszłego męża.

Jak się poznaliście?

Podczas pierwszego spotkania widzieliśmy się tylko przez krótki czas. Przedstawiono nam grupy żołnierzy, my stałyśmy z jednej strony oni z drugiej. Miałam wtedy 19 lat. Po pierwszym spotkaniu na dużej sali, następną okazją była wieczorem w kinie. W Palestynie mieliśmy okazję korzystać z kina

objazdowego. Okazało się, że mój przyszły mąż zajmował się obsługiwaniem sprzętu kinowego. Bardzo chciało mi się pić i ktoś powiedział: „Zaraz poprosimy tego menagera to przyniesie coś do picia”. Przeszedł mój przyszły mąż i przyniósł mi szklankę wody. Następnego dnia spotkaliśmy się gdzieś, nie pamiętam gdzie. On uklonił mi się i złożyliśmy sobie życzenia Bożonarodzeniowe.

W jaki sposób przeżyła Pani czas w Palestynie?

W grudniu 1943 roku wraz z moją szpitalną przełożoną dostałyśmy mały samochód i szofera. Mogłyśmy dzięki temu objechać całą Palestynę. Miałyśmy trochę pieniędzy, bo w Teheranie otrzymywałyśmy pensję i zaoszczędziłyśmy. Kierowca pojechał z nami aż do Hajfy, piękne miasto... Pielgrzymowałyśmy po śladach Jezusa, przeżyłyśmy drogę krzyżową...

To zupełnie coś innego, po tylu trudnych doświadczeniach wojennych?

O tak, tylko była jedna rzecz, trzeba było wszędzie płacić. Arabowie stali, kiedy chcieliśmy wejść do grobu Pana Jezusa, można było wejść oczywiście, ale trzeba było płacić. Zapłaciłyśmy i weszłyśmy. Kupiłam sobie piękny medalik Matki Bożej, na jego odwrocie było pięć krzyżyków. Chciałam go poświęcić, ksiądz mi powiedział: „Proszę położyć na kamieniu, gdzie złożono ciało Jezusa po zdjęciu z krzyża, to będzie poświęcony” – i tak zrobiłam.

Które miejsca zwiedziła Pani w Ziemi Świętej?

Byłam na Górze Przemienienia, w Kanie Galilejskiej, na Górze Oliwnej, na drodze krzyżowej, w Betlejem, w Jerozolimie – tam mieszkaliśmy w hotelu „Warszawskim”, którego właścicielką była polska Żydówka. Bardzo się nami zaopiekowała, dobrze mówiła po polsku. Zwiedzałyśmy cały miesiąc Ziemię Świętą. Na 3 dni pojechaliśmy pociągiem do Egiptu zobaczyć piramidy i sfinksy. Dla nas był to wypoczynek. Pamiętam też bardzo dobrze wigilię w 1943 roku. Mieliśmy ją w wojsku, a potem poszliśmy na pasterkę, śpiewaliśmy polskie kolędy, Mszę odprawiał polski ksiądz.

Długo została Pani w Palestynie?

30 grudnia 1943 roku wyjechałyśmy z Nuseiratu do Port Saidu w Egipcie. Tam wsadzono nas na olbrzymi statek i 1 stycznia 1944 roku mieliśmy noworoczne nabożeństwo na nim. Statek był już prawie pełny, ale jeszcze fodziami dopływali pasażerowie. W nocy była kompletna cisza, nie wolno było nawet palić papierosów. Płynęliśmy tydzień i 7 stycznia 1944 roku przybyliśmy do miasta Taranto we Włoszech. Wyszliśmy na ląd, na ziemi leżał śnieg i było zimno. Po kilku dniach śnieg stopniał, przemieściliśmy się na Marina di Taranto, gdzie zaczęto budować dla nas namioty.

Trafiła Pani do szpitala?

Tak, w Taranto zaczęto nas przydzielać do szpitali. Mnie przydzielono do Palagiano, stosunkowo niedaleko. Przesyłano nam ludzi z frontu na dłuższe leczenie; albo się ich wyleczyło i wracali na front, albo umierali. Rannymi byli Polacy, nie przywożono do nas innych pacjentów. Włosi mieli swoje szpitale, a Niemcy swoje, bo przecież tam była walka z Niemcami. W maju 1945 roku skończyła się wojna. Mój brat Mieczysław walczył pod Monte Cassino. Niestety stracił wtedy słuch w jednym uchu zupełnie, a w drugim miał bardzo nadwyrężony. Trzeba przyznać, że NHS [brytyjski system służby zdrowia finansowany ze środków publicznych] się nim zajął. Otrzymał aparaty, ale na jedno ucho już nie słyszał. Ożenił się w Anglii i miał jednego syna.

W jakich okolicznościach spotkała Pani znów przyszłego męża we Włoszech?

W szpitalu. On przychodził w odwiedziny do swojego kolegi ze Lwowa. Janusz był urodzony i wychowany we Lwowie. Lwowiacy są wielkimi szowinistami! Bardzo kochają swoje miasto i trzymają

się nawzajem. Mąż odwiedzał w szpitalu kolegę - oficera, który chciał popełnić samobójstwo, ale mu się nie udało. To był miły i inteligentny chłopak, razem z Januszem zdawał dużą maturę. Zdali ją w 1939 roku.

W jakim języku komunikowaliście się z Włochami?

Mąż i ja dobrze nauczyliśmy się języka włoskiego. Mieszkałam u pani Włoszki, która bardzo dobrze mnie traktowała, miała dwójkę dzieci. Wiele lat z nią korespondowałam. W 1946 roku ofiarowała mi obrazek Matki Bożej, mam go do dziś.

Kiedy wzięliście ślub?

Gdy skończyła się wojna, w 1945 roku w lipcu wzięliśmy ślub we Włoszech. Ja dostałam tylko wolny weekend, dlatego że właśnie wtedy przygotowywaliśmy ludzi do wyjazdu do Anglii i było bardzo dużo pracy. Wiele osób wysłaliśmy do Wielkiej Brytanii ze względu na to, że we Włoszech nie można było ich wyleczyć. Nie robili sztucznych nóg i rąk, a po bitwie pod Monte Cassino było dużo pacjentów, którzy potrzebowali protez.

Mąż kiedyś mi powiedział: „Ty może nie uwierzysz, ale kiedy ja spotkałem ciebie pierwszy raz w Palestynie, w Nuseiracie, to patrzyłem na ciebie i powiedziałem sobie: „Ja się kiedyś z tą babką ożenię!”. We Włoszech zaczęliśmy się regularnie spotykać. Przeżyliśmy ze sobą wiele lat.

Proszę opowiedzieć więcej o ślubie i przyjęciu weselnym?

Na ślubie mieliśmy 3 księży: księdza szpitalnego, księdza włoskiego, a trzeci to był przyjaciel moich rodziców. Uroczystość była piękna i miała miejsce w Noci. To miejscowość niedaleko Bari z pięknym kościołem. Jeden z oficerów grał Ave Maryja, Włosi śpiewali, było naprawdę bardzo uroczyście! Mąż się śmiał i mówił: „Mamy aż trzech księży, żeby podczas uroczystości w niczym się nie pomylić!” Choć mój mąż był strzelcem, a nie oficerem, uroczystość wyprawiono dla nas w kasynie oficerskim. Nikogo z mojej i Janusza rodziny nie było na weselu. Mój brat był bardzo chory i nie mógł przyjechać, a z męża strony jedyna siostra była wówczas w Rodezji. Ludzi z Teheranu skierowano w różne strony świata: do Afryki, do Indii, wiele dzieci przyjęła po wojnie Kanada. Po latach, kiedy mój starszy syn bardzo dużo podróżował z ramienia firmy, odpowiedzialny był kiedyś za jej działalność w Ameryce Południowej. Powiedział mi kiedyś: „Mamusiu, nie uwierzysz, gdziekolwiek przyjadę, patrzę do książek telefonicznych i wszędzie znajduję Polaków, w Peru, Chile w Argentynie oraz w Brazylii!”



Irena i Janusz Osadziński

Jak przedostaliście się z Włoch do Wielkiej Brytanii?

Z Bari płynęliśmy statkiem do Anglii, do Southampton. 21 lipca 1946 roku dopłynęliśmy, akuratnie w rocznicę naszego ślubu. Mój mąż został we Włoszech, ponieważ miał dużą maturę, a mężczyznom z takim wykształceniem oferowano uniwersytety. Janusz studiował w Bolonii, ale niestety zabrakło pieniędzy i nie mógł ukończyć uniwersytetu. Chciał ukończyć studia z zakresu księgowości.

A czy w Wielkiej Brytanii mężowi udało się ukończyć uniwersytet?

Mój mąż uczył się gry na fortepianie przez wiele lat od 9. roku życia. Miał nadzieję, że jego przyszłość będzie związana z koncertowaniem. Niestety Rosja „wykończyła” jego karierę! Jak przyjechaliśmy do Anglii, mąż przez 3 lata prawie nie dotykał pianina. Poza tym w Rosji pracował w kamieniołomach, miał bardzo ciężką pracę, nie było wtedy absolutnie żadnych możliwości grania. W Anglii kupiliśmy stary fortepian, ktoś go nastroił i Janusz zaczął ćwiczyć. Nigdy nie mógł wrócić do grania klasycznej muzyki, wiedział o tym dobrze, ale zaczął ćwiczyć grę i nawet nieźle mu szło. Po jakimś czasie grał w polskich klubach. Było miejsce w szkole ekonomicznej, wykształcił się i został „Accountant” [księgowym]. Skończył szkołę. Ja sprzątałam domy, bo nie znam języka angielskiego.

Jak wyglądało życie bezpośrednio po dotarciu do Wielkiej Brytanii?

Mieliśmy trzy szpitale na południu Anglii i jeden na północy w Penrith. Przyjechałam w okolice Wrexham, było tam obóz po Amerykanach, trafiłam do niego wraz z siedmioma moimi koleżankami. Musiałyśmy go wysprzątać. Kiedy wszystko było gotowe, powiedziano do mnie: „Twój mąż wrócił z Włoch, ponieważ jest on zakwaterowany blisko Londynu, pošlemy cię na południe koło Reading”. Tamtejszy obóz też był po Amerykanach, w wiosce Hermitage koło Newbury. Mój mąż wrócił z Włoch, wraz z kolegami. Zamieszkaliśmy na południu Anglii. Przydzielono dla nas barak, ale w międzyczasie zaczęto coraz częściej mówić o tym, że wojsko zostanie rozwiązane i trzeba będzie wrócić do Polski. Ja powiedziałam: „Nie mam gdzie wracać, nie mam domu, mój dom jest na Ukrainie”!

Z jaką reakcją się Pani wtedy spotkała?

Anglikom było trudno to zrozumieć. Oni interesują się tylko tym, co ich dotyczy. Niestety, ale tak było, nami się nie interesowali, w ogóle nie wiedzieli, że byliśmy w Rosji! Nie byli świadomi tego, co przeżyliśmy. Dla nas było to bardzo przykre. Rozwiązano wojsko, pamiętam, że dostałam jakąś odprawę...

Gdzie zamieszkaliście po opuszczeniu baraków?

Mieliśmy troszkę pieniędzy. Byli Polacy, którzy wynajmowali dla nas mieszkania i w ten sposób pomagali. Przyszedł mój brat i zaproponował: „Może wynajmiemy mieszkanie razem i będzie nam łatwiej opłacić?” On był oficerem wojskowym. Postanowiliśmy, że tak zrobimy. Dwóch Polaków zabrało od nas 120 funtów na zaliczkę, gospodarzowi dali tylko 50 i „zwiali”. Polacy oszukiwali Polaków... niestety, było to bardzo częste... W końcu wynajęliśmy trzypokojowe mieszkanie z małą kuchnią, w której nie było zlewu, zamieszkaliśmy.

Czy udało się znaleźć pracę?

Sąsiadka zaoferowała mi pomoc: „Jeśli chcesz, znajdę ci pracę, bo szukają ludzi do sprzątnia”. Na tyle zrozumiałam po angielsku, o czym mówiła. Podjęłam proponowaną pracę, zaczęłam sprzątać w jednym z angielskich domów. Gospodyni domu poleciła mnie innym Anglikom, a oni kolejnym. W końcu miałam tyle domów, że już nie przyjmowałam nowych ofert. Zarabiałam trochę pieniędzy, to wystarczyło na zapłacenie czynszu i jedzenie dla nas. Męża spotkał profesor uniwersytetu ze

Lwowa. Okazało się, że przyjaźnił się z rodzicami Janusza. Załatwił mu miejsce w szkole „London School of Economics”. Mąż skończył tam prawo i ekonomię. Bardzo dobrze mu szło, otrzymał stypendium, ale nie wystarczało mu na książki. Jak już wspominałam, zaczął grać w polskich klubach, między innymi w klubie „Orzeł Biały”. W Londynie było wtedy mnóstwo polskich klubów. Grał na pianinie, a później wraz z kilkoma Polakami stworzyli orkiestrę, grali na zabawach, na ślubach i innych przyjęciach. W ten sposób dorabiał i mógł zakupić potrzebne do studiowania książki. Tak funkcjonowaliśmy przez lata.

A kiedy skończył naukę?

Po ukończeniu nauki otrzymał pracę, ale nie był z niej zadowolony. Powiedział: „Tu nie ma przyszłości”, zmienił ją na inną i w nowej pracy został. Przez 12 lat był dyrektorem finansowym w firmie w Londynie, która nadal prosperuje. Firma miała filie w Australii, Kanadzie, w USA oraz Finlandii i mąż wiele podróżował, żeby badać stan finansowy. Szczególnie często podróżował do Kanady. Kiedy przeszedł na emeryturę w 1987 roku, postanowiliśmy przeprowadzić się w okolice Cambridge, a 13 lat temu przyjechaliśmy do Penrhos.

Jak przyjmowali Was Anglicy po wojnie? Czy byli nastawieni przyjaźnie?

O nie, oni przede wszystkim obawiali się, że zabierzemy im domy, pracę, że tyle ludzi wraca z wojska... Londyn był przecież mocno zbombardowany, wiele osób bezdomnych. Uważali, że zabierzemy im dużo! Absolutnie nie byli przyjaźni w stosunku do nas. Tak samo o Rosji, broń Boże nie mówiło się, żeby nie obrazić... W Londynie była przecież wielka defilada żołnierzy i proszę sobie wyobrazić, że Polakom odmówiono udziału w przemarszu! Powiedziano, że tylko lotnicy mogą uczestniczyć, a lotnicy w tej sytuacji powiedzieli: „Nie!” O Rosji nie było ani mowy, ani dużo książek, tylko dlatego, że Anglicy podlizywali się Rosjanom! To słowo „Foreigner” [obcokrajowiec], słyszało się tak często...

Czy z biegiem czasu coś się zmieniło pod względem postrzegania Polaków?

Po jakimś czasie kupiliśmy sobie dom, mieliśmy sąsiadów Anglików, oni traktowali nas bardzo przyjemnie. Oboje należeli do Church of England. Byli niezwykle pobożni i to robiło na nas duże wrażenie. Oni również wiedzieli, że chodzimy do kościoła wraz z dziećmi.

Pamięta Pani jakąś szczególną uroczystość z Kościoła?

Tak, w sposób szczególny wspominam bierzmowanie naszych dzieci. Wówczas ja także przyjął sakrament, bo nie byłam wcześniej bierzmowana. Na uroczystość przyjechał ksiądz biskup Władysław Rubin. Msza oraz udzielenie sakramentu odbyły się w kościele Catholic Crystal Palace Norwood w południowym Londynie. Nieopodal wybudowaliśmy piękną kaplicę, która funkcjonuje do dziś.

Jak potoczyły się losy mamy?

W lipcu 1946 roku wróciła do Polski, w 1967 roku powtórnie wyszła za mąż. Zamieszkała w Bielsku-Białej, dlatego, że w tamtych okolicach mieszkał przyrodni brat mego ojca. Mama znalazła sobie pracę, w czym pomogła jej bardzo dobra znajomość języka rosyjskiego. Wtedy w Bielsku-Białej i okolicach było wiele fabryk. Mama pracowała w języku rosyjskim, załatwiała wiele spraw związanych z firmą pomiędzy Polską a ZSSR. Jej drugi mąż miał dość dużą rodzinę i jedna z krewnych opiekowała się mamą. Dodam jeszcze, że mama trzykrotnie odwiedziła nas w Anglii. Zmarła w 1977 roku. Przyjechałam dwie godziny po jej śmierci do domu, w którym mieszkała...

A o tacie dostaliście jakieś wiadomości?

Nie, nigdy.

Co działo się po powrocie z frontu z Pani młodszym bratem?

Mój brat Kazimierz, który walczył w bitwie o Arnhem w Holandii, przyjechał do nas z Niemiec w 1948 roku. Chciał nam powiedzieć, że jedźcie do Polski. Bardzo namawialiśmy go z mężem, żeby tego nie robił! Mama też dała nam do zrozumienia, żeby tego nie robić, żeby nie wracać do Polski. Stało się niestety inaczej. Gdy tylko wrócił do ojczyzny w 1948 roku, został zaarrestowany na cały rok. Nie tylko, że nie mógł pomagać mamie, ale jeszcze ona musiała jeździć do niego do więzienia. Po roku został uwolniony, bo nie mieli za co utrzymywać go w więzieniu. Został w Polsce na stałe i tam się ożenił, mieszkał w Bielsku-Białej. Drugi brat tak jak my, na stałe osiedlił się w Anglii, zmarł 15 lat temu.

Kiedy Pani i mąż odwiedziliście po raz pierwszy po wojnie Polskę?

Mój mąż w 1961, a ja w 1963 roku. Otrzymaliśmy obywatelstwo angielskie i Janusz pojechał najpierw sam. Potem, w 1963 roku przywiózł samochodem mamę do Wielkiej Brytanii. Została u nas 3 miesiące. W 1963 roku pojechaliśmy do Polski samochodem wraz z dziećmi. Synowie mówili po polsku, dlatego, że my w domu nigdy nie używaliśmy języka angielskiego. Zawsze rozmawialiśmy po polsku. Ponadto kiedy synowie byli dziećmi, chodzili do polskiej szkoły. Do dnia dzisiejszego obaj rozmawiają ze mną w języku polskim.

A jak potoczyły się ich losy ?

Synowie dostali się do Dallage College w Londynie, była to bardzo prestiżowa, droga szkoła i do dnia dzisiejszego jest bardzo znana w Anglii. Kiedyś było tak, że jeśli zdawało się egzaminy „a-level class”, to za wysoki wynik w egzaminie otrzymywało się miejsca w dobrych szkołach. Nie moglibyśmy sobie pozwolić na opłacenie tego college’u. Obaj chłopcy dobrze zdali egzaminy i dostali się do szkoły. Następnie skończyli studia. Mój młodszy syn studiował w Cambridge, i nawet został „head boy”. Studiował angielską i francuską literaturę. Obecnie pracuje jako muzyk, talent odziedziczył po ojcu, ma swoje studio, pisze muzykę do reklam i filmów. Jego żoną jest Niemka, bardzo szlachetna kobieta. Syn po studiach wyjechał do Holandii i tam się poznali. Dzieci mojego syna uczą się w Holandii języka chińskiego. Od urodzenia ojciec rozmawiał z nimi po angielsku, a matka po niemiecku. W szkole uczyli się języka holenderskiego, więc od wczesnego dzieciństwa posługiwali się trzema językami. W Holandii od 9. roku życia wprowadzona jest w szkołach nauka języka angielskiego. Moi wnukowie nudzili się na lekcjach, gdyż język znali z domu, potrafili też czytać i pisać po angielsku. W szkole było około 15 dzieci chętnych na naukę języka chińskiego i zapisali się do tej grupy.

A drugi syn?

Studiował w Bristol, obecnie mieszka w USA, w San Francisco. Amerykańska firma zaproponowała mu tam pracę. Jego żoną jest Angielka. Mają syna, który ożenił się również z Angielką i mieszka w Wielkiej Brytanii w Bristol. Mam prawnuka, który skończył 4 lata. Wnuk jako że mieszka w Anglii, na co dzień posługuje się językiem angielskim, w pracy używa często francuskiego, zna również język niemiecki.



Irena Osadzińska z synami.

Czy odwiedziła Pani kiedyś rodzinną miejscowość, która obecnie należy do Ukrainy?

Ja nie, ale mama tam wracała. Jeździła do babci w odwiedziny. Opowiadała mi, że któregoś razu pojechała z mężem samochodem. Stała przed naszym dawnym domem i przyjrzała się jak wygląda. Mówiła, że został bardzo zniszczony, szklana kiedyś weranda w ogóle nie miała szkła w oknach. Cały budynek był zamieszkały, z jednej strony przez policję, a górną część domu zajmowały Rosjanki. Mama odważyła się i zapukała do drzwi domu. Pozwolono jej wejść do środka i zaczęto pokazywać błędy budowlane, gdzie i co trzeba poprawić. Pamiętam jak opowiadała o tym wydarzeniu: „Nie mogę ci powtórzyć, co im wtedy powiedziałam!” Mama postanowiła więcej nie patrzeć na dom, mówiła, że wyszła stamtąd i postanowiła nie płakać...

A w domu babci?

Tam, gdzie była babcia, mieszkają obecnie Ukraińcy. Na Ukrainie został brat mamy, wiem że miał dwójkę dzieci, mama mówiła mi, że są wykładowcami na uniwersytecie we Lwowie, ale nie mam z nimi kontaktu. Kiedyś rozmawiali w domu po polsku, a teraz nie wiem.

Mężowi udało się odwiedzić rodzinne miasto ?

Mój mąż odwiedził Lwów, pojechał też do Oleska, mojego miasta i domu. Zrobił zdjęcia... W naszym ogródku rósł orzech włoski i nadal rośnie... Janusza zauważyła sąsiadka i zapytała go: „Pan chyba nie jest tutejszy...?” Mąż podjął rozmowę, wytłumaczył cel przyjazdu oraz poinformował, że jestem jego żoną. Kobieta powiedziała: „Irena? Pana żona? Ona huśtała się tu, na tej huśtawce...!” Następnie zaprosiła męża do swojego domu, w szklance podała mu herbatę z cytryną. Mąż cieszył się, że został tak dobrze przyjęty.

Co wspominał po powrocie ze Lwowa?

We Lwowie był 3 razy z wycieczką, odwiedził również swój dom. Przyjęło go młode małżeństwo, oboje są nauczycielami. Mąż powiedział, że najbardziej wzruszyło go to, że w domu wszystko było tak samo jak kiedyś... Ten sam piec kaflowy, tylko zamiast drewna, używano gazu. Wszedł do pokoju i w rogu zobaczył fortepian. Wiedział, że nie jest jego, gdyż był świadkiem, jak Rosjanie odkręcili nogi od jego fortepianu przed wywózką rodziny i zabrali go do Rosji... Janusz ucieszył się, że ludzie którzy

mieszkają obecnie w jego rodzinnym domu, też grają na fortepianie i że serdecznie go przyjęli. Kiedy jechał kolejny raz do Lwowa, zrobiłam dla nich mały prezent. Kupiłam podkładki pod talerze, byli zadowoleni. Mąż ze „swego” Lwowa przywiózł mnóstwo fotografii.

Kiedy podróżowała Pani do Polski ostatni raz wraz z mężem?

W Polsce byłam ostatnio w 1996 roku, pojechaliśmy razem odwiedzić wszystkie groby bliskich. Mąż bardzo przeżył tę podróż. Jego ojciec pochowany jest na Salwatorze w Krakowie, a matka ma tylko tabliczkę na grobie męża z napisem: „Żona Wiktoria, zamordowana w Rosji, w więzieniu w Kopytkowie w 1940 roku...” Męża siostrę sprowadziliśmy z Rodezji do Anglii. Wysłała za męża, a w wieku 89 lat zmarła. Jest pochowana w Walden tam, gdzie mieszkaliśmy przez 20 lat i był to dla nas bardzo szczęśliwy okres życia. Brat z bratową mieszkali w sąsiedniej wiosce.

Z komentarzem [P1]:

Doczekali się Państwo pięknej rocznicy ślubu...

Tak, wraz z mężem w 2015 roku obchodziliśmy 70. rocznicę małżeństwa. W niedługim czasie po tej uroczystości, mój mąż zmarł w Penrhos i tu został pochowany. Wcześniej bardzo uroczyste obchodziliśmy 50-lecie ślubu. Przyjechali nasi synowie i cała rodzina. Starszy syn wszystko zorganizował, byliśmy w hotelu na kolacji, otrzymaliśmy dużo prezentów. Po kolejnych 10 latach świętowaliśmy 60-lecie. Byliśmy zgodnym małżeństwem.

Opowiem pewne zdarzenie. W prezencie ślubnym jeden lekarz włoski, którego byłam asystentką, ofiarował nam obrączki, takie duże, z prawdziwego, 22-karatowego złota. Pojechaliśmy w Anglii nad morze, już nie pamiętam kiedy dokładnie. Obrączka była zbyt luźna, gdy skakałam do wody zsunęła mi się i wpadła do piasku. Im więcej jej szukałam, tym bardziej się „chowala” w piasku. Przez cały tydzień co rano wychodziłam na miejsce, gdzie zgubiłam obrączkę i szukałam jej, ale nie znalazłam. Wzięliśmy obrączkę męża, poprosiliśmy w zakładzie jubilerskim, by przecięto ją na pół i nadal mieliśmy te same obrączki. Moje znajome, kiedy się o tym dowiedziały, mówiły, że to „omen”, i że małżeństwo może być nieudane. Nie raz się z tego śmieję! Nigdy nie trzeba wierzyć w żadne zabobony! Przeżyliśmy razem 70 lat w małżeństwie.



70. rocznica małżeństwa Ireny i Janusza Osadzińskich. Penrhos, 25.07.2015 r.

Bardzo dużo się działo w Pani życiu. Jest to historia trudna, ale i piękna. Dziękuję za rozmowę.

siostra Halina Pieróżak
Misjonarka Chrystusa Króla
dla Polonii Zagranicznej
05. 10. 2020r.

Pani Irena Osadzińska wyraziła zgodę na opublikowanie ww. wywiadu